

Rozdział VII



Picenum, północno-wschodnie wybrzeża Półwyspu Apenińskiego, lato 72 r. p.n.e.

Marcion przestępował z nogi na nogę, mając nadzieję, że nikt nie zwróci uwagi na to, że jest rozgorączkowany.

Chwilę później jednak szturchnął go Gajusz.

– Zdenerwowany?

– A ty nie?

– Nie. Dziś nie jest dzień mojej śmierci.

– Skąd to możesz wiedzieć? Cała nasza cholerna kohorta znajduje się blisko centrum, gdzie zginie najwięcej ludzi.

– Gajusz jest za głupi, żeby się zorientować, że przyszedł po niego Hades – parsknął szyderczo Arphocras.

Gajusz skrzywił się, widząc, że jego towarzysze śmieją się i mrugają do siebie porozumiewawczo. Może żaden się do tego nie przyzna, ale również na ich twarzach Marcion dostrzegł zaniepokojenie. Uniósł głowę, wodząc wzrokiem po długich szeregach legionistów na zboczu wysoko nad nim.

– Nie mogę uwierzyć, że mamy zaatakować pod górę!

Wszystkie oczy podążyły za jego wzrokiem. Świadomość tego, że wróg zajął świetną pozycję na szczycie górującej nad okolicą grani, działała na wszystkich co najmniej onieśmielająco. Skalisty szczyt po lewej uniemożliwiał jakiegokolwiek oskrzydlenie tych sił, a rzymska prawa flanką była osłaniana przez sporą liczbę wtarganych na wzniesienie katapult.

– Nasza jazda tu do niczego się nie przyda. Czeka nas frontalny atak. Nie ma innej możliwości – zauważył cierpko Arphocras.

– I dobrze! – zawołał Gajusz. Im szybciej dorwiemy się do gardeł tym cuchnącym Rzymianom, tym lepiej. – Rozejrzał się wokół, szukając wsparcia, ale w oczach towarzyszy widział tylko niepewność.

– Spartakus oszalał – burknął Zeuksis. – Odbiło mu przez te wszystkie zwycięstwa. Mówiłem wam, że tak będzie.

– Umrzemy – odezwał się zrezygnowanym głosem Arphocras. – Nawet jeśli Rzymianie przegrają, nigdy się o tym nie dowiemy.

Zeuksis potarł w palcach zawieszony na rzemieniu na jego szyi amulet przedstawiający dwa połączone fallusy i bezgłośnie zmówił jakąś modlitwę. Kilku innych żołnierzy robiło to samo.

Oni naprawdę się boją. Marcion nieoczekiwanie poczuł się pewniej.

– Spartakus wie, co robi – przekonywał.

– Naprawdę? – odezwał się jeszcze mniej pewnym głosem Zeuksis.

– Jeszcze nigdy się nie pomylił, prawda?

– To nic nie znaczy. Nikt nie jest doskonały – odparł gniewnie Zeuksis. – I jak może wyglądać jego sekretny plan? Każdy głupiec wie, że szturm w górę zbocza jest równoznaczny z samobójstwem. A my właśnie to zrobimy.

– Na górze są tylko dwa legiony – warknął Gajusz. – Mamy przewagę liczebną nad tymi draniami. Sześć do jednego.

– Ale nie wszyscy możemy atakować w tej samej chwili. Czoło ich formacji jest zbyt wąskie. Poza tym wcale nie mamy tak wielkiej przewagi, jak mówisz. Pozostałe legiony konsula znajdują się niedaleko – zauważył Zeuksis. – Przy pierwszej okazji spadną na nasze tyły.

Gajusz zgromił go wzrokiem. Marcion uznał za stosowne zainterweniować.

– Spartakus nie jest głupcem. Pamiętasz, jak zastawił pułapkę na Lentulusa? Jak zniszczył ukryte katapulty Longinusa w noc przed wymarszem?

– No, nie wiem... – Zeuksis się skrzywił. – Ten szturm wydał mi się dobrym sposobem tylko na to, żeby stracić wielu ludzi.

Usłyszeli stłumiony głos trąb z pewnej odległości po prawej stronie. Wszyscy wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– To Spartakus!

Marcion wskazał jeźdźca, który wyjechał przed szereg armii jakieś dwieście kroków dalej. Poruszał się wzdłuż linii, a potem zawracał, przemawiając do żołnierzy znajdujących się najbliżej.

– SPAR-TA-KUS! – Żołnierze głośno wiwatowali, jak zwykle na widok wodza.

Marcion był zachwycony. Stojący najbliżej niego żołnierze również wydawali się zadowoleni. Ludzie podawali sobie słowa Spartakusa z ust do ust.

– Cholernie typowe... – stwierdził Zeuksis. – Nie słyszymy ani jednego pieprzonego słowa. – Marcion spojrział na niego z ukosa, ale starszy mężczyzna go zignorował. – Jak coś takiego ma podnieść morale? Równie dobrze możemy modlić się do bogów. Lub porozmawiać ze sobą. Moglibyśmy tu sobie gratulować, udając, że mamy pojęcie, co się dzieje.

– Przestań jęczeć, dobrze? – Marcion miał naprawdę dość gderania towarzysza. – Uspokój się albo wypierdalaj! – Zeuksis spojrział na niego zdumiony. – Czy to ci się podoba, czy nie, niedługo czeka nas walka. Część z nas polegnie, ale przynajmniej umrzemy jako wolni ludzie. Jesteśmy tutaj z własnego wyboru! Nie wiem, jak wy, ale ja wolę być tu, niż wrócić na pieprzone *latifundium*, gdzie dorastałem. Byłem traktowany jak zwierzę.

– Cholerna racja! – krzyknął Gajusz. – Nie ma odwrotu.

– Dobrze powiedziane. – Arphocras szturchnął Marciona. – Jesteśmy ludźmi Spartakusa na dobre i na złe.

Reszta ich towarzyszy rozglądała się z nieśmiałymi uśmiechami, podczas gdy Zeuksis milczał, łypiąc tylko gniewnie.

Marcion całą uwagę poświęcił teraz Spartakusowi. Ich wódz dobył miecza. Wstrzymał oddech. Spartakus wskazał kilka razy mieczem rzymskie linie. Znajdujący się najbliżej niego żołnierze zawyli entuzjastycznie.

– I to tyle. Będziemy atakować.

Ku jego zaskoczeniu rozkaz do ataku wcale nie padł. Spartakus przejechał dalej wzdłuż frontu armii, kierując się w ich stronę. Zatrzymał się nie dalej niż dwadzieścia kroków od miejsca, w którym stali. Żołnierze wrzeszczeli jak opętani, wiwatując i uderzając mieczami i drzewcami oszczepów o tarcze. Marcion i jego towarzysze dołączyli do tego szaleńczego tumultu. Nawet Zeuksis dał się porwać.

Spartakus uniósł ręce, prosząc, żeby się uciszeli.

– Wiecie, że mamy przed sobą tylko dwa legiony. Wiecie, że dwa inne znajdują się w okolicy. Czają się na tyłach, marząc tylko o tym, żeby uderzyć na nas z zaskoczenia. Najpewniej się tym martwicie, jeśli nie jesteście wręcz przerażeni. Założę się, że Lentulus tam na górze też na to liczy. Że się przestraszycie. Ta wypacykowana ciota ubrana w togę ludzi się jeszcze, że Gellius przyjdzie mu z pomocą. – Uśmiechnął się, słysząc pomruki niezadowolenia.

Zeuksis spojrział wymownie na Marciona.

Marcion wstrzymał oddech. *Chyba nie to chciał im przekazać Spartakus? Czy aby na pewno?*

Spartakus przyglądał się uważnie twarzom swoich ludzi, pozwalając im przez kilka chwil walczyć z niepewnością. I wtedy dokończył:

– Nasi zwiadowcy i tym razem spisali się wyśmienicie. Wczoraj odkryli pozycję armii konsularnej Gelliusa. Ponad dwadzieścia tysięcy waszych towarzyszy pod dowództwem Castusa i Ganicusa niedługo ruszy mu na spotkanie i zagrozi drogę. Możecie być pewni, że zadbają o nasze tyły! A my mamy mnóstwo czasu, aby wykurzyć stąd tego miękkiego kutafona Lentulusa.

Tak jak wiosenna wichura oczyszcza świat z ostatnich śladów zimy, tak zmieniło się morale armii. Ludzie się śmiali, wiwatowali i dziękowali bogom.

– Pomożecie mi w tym? – zawołał gromkim głosem Spartakus.

Ryk, który wznosił się nad liniami żołnierzy, świadczył o tym, że wróciła im nadzieja na zwycięstwo. Gotowi byli zejść za swoim wodzem w najgłębsze otchłanie Hadesu.

Nieuchronnie znów zaczęli skandować tylko jedno słowo:

– SPAR-TA-KUS!

Trak galopował wzdłuż linii swoich wojsk, pławiąc się w tych dowodach uznania.

Marcion posłał Zeuksisowi niezbyt serdecznego kuksańca.

– Teraz jesteś zadowolony?

– Pójdę za nim na tę grań.

Marcion się uśmiechnął. Jak na Zeuksisa to był nadzwyczajny wyraz uwielbienia.

Kilka tygodni później...

Apeniny, południowo-środkowa Italia

Carbo wstał, żeby poprawić duży kamień, który służył mu za oparcie. Przyjął wcześniejszą pozycję z pełnym zadowolenia westchnieniem. Naciągnął koc na ramiona i przysunął nogi bliżej płonących kłód. Dni były jeszcze gorące, ale w nocy na tej wysokości temperatura szybko spadała. Na szczęście wystarczało posiedzieć przy ognisku, żeby ogrzać kości.

– Z radością znów ujrzę Thurii – stwierdził Navio.

– Już niedaleko, niech dzięki będą Jowiszowi – odezwał się Publipor.

– Nie mogę się doczekać jakiegoś płaskiego terenu. Mam już dość tej huštawki. Schodzimy z jednego wzgórze, żeby za chwilę wejść na następne – wtrącił się Arnax.

Wszyscy zachichotali, słysząc jego pełne oburzenia słowa. Sińki od uderzeń Spartakusa, który przetrzepał mu skórę, po paru dniach zniknęły, ale Arnax potrzebował kilku tygodni, żeby zapomnieć o wstydzie, jakiego się najadł. Długo nie mógł sobie wybaczyć, że tak łatwo dał się podejść Castusowi. Dopiero niedawno zaczął wychodzić ze swojej skorupy.

– To właściwie twoje rodzinne strony, Publiporze. Mam rację? Brundisium nie leży zbyt daleko od miejsca, gdzie będziemy

zimować – powiedział Carbo, mrugając do towarzysza. Apulijczyk dołączył do centurii w jego kohorcie. Gdy u podnóża Alp zawrócili na południe, stał się stałym towarzyszem przy ich ognisku. Zaprzyjaźnili się.

– Nie mylisz się. – Po twarzy Publipora przemknął jakiś cień. Carbo zaczął podejrzewać, że ich nowy towarzysz bardzo czymś się martwił.

– Masz tam kobiety? Rodzinę?

Cień, który można było wziąć za zgrzyotę, teraz przemienił się w smutek.

– Miałem. Żonę. Trójkę dzieci.

Przy ognisku zapadła ciężka cisza. Navio zajął się dokładaniem drewna do ognia. Arnax, szorując miecz Carbo kawałkiem drutu, udał, że znalazł plamkę rdzy, która musiała być koniecznie usunięta. Carbo odprowadził wzrokiem snop iskier wzlatających ku nocnemu niebu. Nic dziwnego, że nie wiedzieli o sobie za wiele. Ludzie tworzący niewolniczą armię rzadko zadawali sobie trud, żeby opowiedzieć towarzyszom o swojej przeszłości. On też przecież nie dzielił się swoją historią ze wszystkimi.

– Co się z nimi stało?

Publipor oczyścił zaciśnięte gardło.

– Odeszli rok temu. Cholera.

– Przykro mi – powiedział Carbo.

– Ciężko znieść taki cios... – dodał Navio, okazując dużą empatię. – Wojna to jedno, ale choroba...

– No tak, cóż... Co poradzić? Bogowie dają, bogowie zabierają. Powinienem dziękować im, że jestem tu, gdzie jestem. Że przeżyłem.

Publipor wcale nie wydaje się wdzięczny – pomyślał Carbo. Jemu samemu trudno było znieść myśl, że już nigdy nie zobaczy swoich rodziców, ale oni przynajmniej wciąż żyli. Myśl pełna nadziei, że pewnego dnia jeszcze się zobaczą, nie graniczyła z szaleństwem. Nie miał daleko: Rzym znajdował się od nich jakieś dwieście mil na północnym zachodzie. Jeszcze tydzień czy dwa wcześniej armia znajdowała się nawet bliżej stolicy republiki. Carbo krótko rozważał nawet dezercję. Potem chciał spytać

Spartakusa, czy pozwoliłby mu odwiedzić rodziców, ale po namyśle uznał ten pomysł za niedorzeczny. Dwukrotnie zrobił z siebie głupca przed Trakiem i nie zamierzał powtórzyć tych błędów.

– Mamy szczęście, że żyjemy. I to się nie zmieni w nadchodzących miesiącach – stwierdził ponuro Navio. – Nawet jeśli pokonałszy konsulów w Picenum, nie znaczy to, że inna armia nie ruszy naszym śladem. Będzie o wiele większa niż te, które widzieliśmy do tej pory. Jak mawiał mój ojciec, wykorzystuj każdy dzień...

– Bo może być twoim ostatnim... – dokończył za niego Arnax uroczystym tonem.

Navio wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że słuchałeś mnie uważnie!

Nawet w półmroku widać było, że Arnax oblał się rumieńcem.

Navio wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy.

– *Gladius Carbo* wygląda obłądnie. Może jak skończysz, zajmiesz się moim? Co?

– Jasne! – Zachwycony chłopak spojrział na Publipora. – Mam wyczyścić też twój?

– Kiedy będzie trzeba, zrobię to sam – warknął Apulijczyk. – Rozumiesz?

– Przepraszam. – Arnax spuścił wzrok.

– Jestem zmęczony. Chyba się już położę. Dobranoc.

Carbo i Navio odpowiedzieli na pożegnanie Publipora. Arnax odprowadzał go wzrokiem w ciszy.

– Nie martw się, chłopcze. Nie ma nic do ciebie. Trawi go smutek i oplakuje swoją rodzinę – powiedział Carbo.

– Trzeba co najmniej roku, zanim ból stanie się do zniesienia – oznajmił Navio z westchnieniem.

– O jakim bólu mówisz?

Obrócili się zaskoczeni.

– Spartakus! – Carbo się uśmiechnął szeroko na widok wodza.

– Witaj! – Navio również rozciągnął usta w wielkim uśmiechu.

Trak pochylił głowę na powitanie, a potem spojrział twardym wzrokiem na Arnaksa, który wyglądał tak, jakby chciał, żeby ziemia się rozstąpiła i go pochłonęła. Spartakus usadowił się przy ognisku.

– O jakim bólu mówiłeś, Navio?

– O tym po stracie najbliższych.

– Rozumiem... – *Jeźdźcu, czuwaj nad duszami mojego ojca, Marona, mojego brata. Getasa i Seuthesa, moich towarzyszy.*

– Wszyscy tracimy bliskich. To jedna z prób, jakim poddaje nas życie. Trzeba poradzić sobie z tą stratą najlepiej, jak potrafimy.

– Mądre słowa – stwierdził Navio.

Przez krótki czas siedzieli w milczeniu. Carbo i Navio zastanawiali się, co się stało, że Spartakus nieoczekiwanie zaszczylił ich swoją obecnością przy ognisku.

– Jeszcze w tym miesiącu dotrzemy pod Thurii – oznajmił Spartakus. – Dobrze będzie w końcu odpocząć, co? – Zamrucheli pod nosem kilka słów na znak, że zgadzają się z Trakiem. Spartakus nie mógł opanować śmiechu. – Ale wy pewnie chcecie wiedzieć, co mnie tu sprowadza.

– Nie przyszedłeś, żeby z nami pogawędzić – stwierdził rzeczowo Carbo.

– Nie – Spartakus świdrował go wzrokiem.

W tej chwili Publipor ukazał się w wejściu swojego namiotu z gałązką wystającą z ust. Zaczął pocierać nią zęby, gdy nagle zorientował się, że mają gościa. Wypluł szybko ślinę.

– Spartakus! To ogromny zaszczyt.

– Jak się masz, Publiporze?

– Dobrze. Dziękuję, panie. – Publipor uniósł gałązkę służącą do mycia zębów w przepraszającym geście. – Już miałem iść spać, ale w takim razie zaraz do was wrócę.

– Jeśli o mnie chodzi, to nie musisz się kłopotać. Odpocznij. Jutro czeka nas kolejny długi dzień marszu. – Spartakus odezwał się przyjaznym tonem, ale dość zdecydowanie.

Wydawało się, że Publipor odetchnął z ulgą.

– W porządku. Dobranoc, panie.

– Spokojnych snów. – Spartakus się odwrócił do Carbo i Navio. – Dobry z niego człowiek – powiedział cicho.

– To prawda – potwierdził Carbo. – Jest świetnym tropicielem. Dzięki niemu nigdy nie wracamy z polowania z pustymi rękoma. Zawsze ustrzelimy jakiegoś jelenia czy dzika.

– Nie dziwię się, że dobrze sobie radzi z łukiem. A jak mu idzie z mieczem?

– Całkiem dobrze – odparł Navio. – Daj mu jeszcze kilka miesięcy, a będzie równie biegły w walce na krótkim dystansie, jak reszta naszych ludzi.

– Świetnie. Powinniśmy mieć dość czasu w Thurii, żeby wznowić szkolenie i kontynuować je przez całą zimę bez przeszkód. Mało prawdopodobne, że Rzymianie ruszą na nas o tej porze roku. Ale ruszą prędzej czy później. – Twarz Spartakusa pociemniała. – Wiesz o tym, prawda? Nie ma mowy, żeby zostawili nas w spokoju.

– Tak – odpowiedzieli zgodnie. Arnax wybałuszył oczy.

– Na razie nie wiemy, co planują te psubraty. Za to oni dostają informację o naszym przemarszu od każdego obywatela, przez którego ziemię przechodzimy.

– Niewiele możemy na to poradzić – powiedział Navio. – I trudno zdobyć informacje na temat Rzymian. Dezerterzy, którzy do nas dołączyli, nie mogą ryzykować powrotu do swoich jednostek. Zostaliby ukrzyżowani.

– Wiem. Dowiedziałem się jednak jednej interesującej rzeczy. Wczoraj jeden z patroli zatrzymał kupca, który przybył z Rzymu. Podzielił się z nami swoją wiedzą.

Pochylili się w jego stronę z zainteresowaniem.

– Krassus otrzymał mandat senatu, który nakazał mu prowadzenie kampanii przeciwko nam.

Carbo poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

– Ten sam Krassus, który...

– Tak. Ta sama szuja, która zrujnowała twoją rodzinę. Ten sam, przed którym walczyłem w Kapui o życie. Osobliwe, jak dziwnie może się pleść nić losu, nieprawdaż?

– Tak... – szepnął Carbo, zaciskając pięści.

– Wygląda na to, że Krassus wkrótce ma przemówić do obywateli. Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby usłyszeć, co ma do powiedzenia. Może nawet uda nam się poczęstować go żelaznym ostrzem, jeśli nadarzy się okazja. To wywarłoby na senatorach duże wrażenie, na jakiś czas pewnie psując im szyki.

Ta myśl na początku wydawała się Spartakusowi śmiała, może nawet nierozważna, ale teraz, gdy już wypowiedział głośno, co mu chodzi po głowie, rozkoszował się wywoływanym przez nią dreszczykiem emocji. Zamierza spróbować i nikt go nie powstrzyma.

– Byłbyś gotów jeszcze raz zaufać mi i Carbo? – Zdziwiony Navio uniósł brwi.

– Tobie i Carbo? Nie.

– Jak mamy to rozumieć? – Carbo pochylił się do przodu, zaciekawiony.

– Ty i ja. Udamy się do Rzymu. Prosto do gniazda żmij! Zobaczymy, co uda nam się dowiedzieć.

– Mówisz poważnie? – zapytał Carbo, równie zaskoczony jak Navio. Obraz jego rodziców mignął mu w głowie. Odepchnął go z poczuciem winy.

– Nigdy nie byłem bardziej poważny. – Spartakus wciąż słyszał w głowie głos Ariadny, która ostrzegała go, żeby nie opuszczał obozu, widział niedowierzanie wypisane na twarzach Pulchera i Egbeo. – Jestem przywódcą tej armii. Ja sam decyduję o sobie.

Carbo kiwnął głową.

– Tylko ty i ja?

– Tak. Możesz udawać syna właściciela ziemskiego. Ja będę twoim niewolnikiem.

– To może się udać... – mruknął Carbo nieco speszony.

– Ale co z armią? – zapytał Navio. – Nie możesz dać wolnej ręki Castusowi i Gannicusowi. Te kanalie wszystko zrujnują!

– Nie, nie zdążą tego zrobić. Tak samo jak ja myślą teraz o znalezieniu dobrego miejsca na zimowe kwatery dla armii. Gdy dotrą do Thurii, będą upijać się na umór i chędożyć całe noce. – Spartakus dobrze wiedział, że to tylko myślenie życzeniowe. Pod jego nieobecność z jeszcze większym zaangażowaniem zajmą się werbowaniem ludzi i wzmacnianiem znaczenia w armii. Jednak już zdecydował. Po powrocie zadba o umocnienie swojej pozycji. – Rozmawiałem z Pulcherem i Egbeo o tym, co należy zrobić, gdy pojawią się jakieś rzymskie oddziały. Mogą interweniować, jeśli Galowie zdecydują się na jakiś szalony krok.

Navio nie wyglądał na przekonanego, ale już nic nie powiedział.

– A co z Ariadną? Czy ona lada dzień nie spodziewa się rozwiązania? – Jak każdy żołnierz, Carbo darzył żonę Spartakusa wielkim szacunkiem. Pomimo zaawansowanej ciąży nadal maszerowała na własnych nogach. „To dobrze robi dziecku” – tłumaczyła codziennie z jasnym uśmiechem. A jednak uwadze Carbo nie uszło napięcie rysujące się na jej twarzy tamtego popołudnia, gdy ostatni raz z nią rozmawiał. Spartakus musiał być tego świadomy. – Nie chcesz być przy niej, gdy urodzi ci syna?

Spartakus rzucił mu twarde spojrzenie.

– Ariadna twierdzi, że to jeszcze trzy tygodnie. Wierzę jej. Kobiety znają się na tych sprawach.

– Rozumiem.

– Wyruszamy jutro. Dotrzemy do Rzymu za niewiele ponad półtora tygodnia. Jeśli uda nam się kupić konie, może obrócimy jeszcze szybciej. Dwa lub trzy dni na miejscu powinny wystarczyć. Dzięki koniom szybciej też wrócimy. – Zerknął na Navio. – Będziesz miał wystarczająco dużo czasu w Thurii, żeby zanim wrócimy, przygotować dla Ariadny jakąś chatę.

– Zajmę się tym od razu.

– Jeśli jesteś pewien... – Carbo nie potrafił ukryć wątpliwości. Nie miał zbyt dużego doświadczenia, jeśli chodzi o jazdę konną.

– Jestem. – Spartakus naturalnie nie zamierzał wspominać o ostrej kłótni z Ariadną, która na początku otwarcie sprzeciwiała się jego decyzji nie dlatego, jak przekonywała, że może nie zdążyć wrócić przed porodem, ale dlatego, że podczas tej misji grozić mu będzie wielkie niebezpieczeństwo. Wielokrotnie pytała: „A jeśli w Rzymie ktoś cię rozpozna?”. Spartakus wyśmiał jej obawy. Bo kto miałby go rozpoznać? Prawdopodobieństwo spotkania w stolicy kogoś, kto go znał, było mniejsze niż to, że soplel lodu nie rozpuści się w południowym słońcu. Potem wziął ją za rękę i tłumaczył cierpliwie: „Muszę się dowiedzieć, co planują ci przekłęci Rzymianie. Szansa wyeliminowania Krassusa więcej się nie nadarzy”. „A jeśli cię złapią?” – pytała. Roześmiał się. „Tak się nie stanie. Zabiorę ze sobą Carbo. Jest rodowitym Rzymianinem. Będę udawał jego niewolnika, który

strzeże swego pana w krótkiej podróży w interesach. Dwóch mężczyzn w tłumie tysięcy ludzi. Cóż może się nam nie udać?” Ariadna wreszcie dała się udobruchać. Wiedziała, że go nie przekona. Mimo wszystko napięcie w ich relacjach jeszcze wzrosło. *Wszystko da się naprawić, kiedy wrócę.* – No to jak? Zgadzasz się?

Carbo czuł wzruszenie. Tak jak wtedy, gdy Spartakus złożył mu podobną propozycję. Jak mężczyzna mężczyźnie, a nie przywódca przemawiający do swojego stronnika. W głębi serca cieszył się, gdyż przewidywał, że w Rzymie może pojawić się okazja spotkania z rodzicami.

– Oczywiście.

– No to ustalone. – Spartakus wstał.

– Nie napijesz się ciepłego wina? – Carbo wykonał gest, na widok którego Arnax czym prędzej skoczył po amforę do namiotu.

– Nie, dziękuję. Rano muszę być trzeźwy i myśleć jasno. Narzucimy ostre tempo. Powinniśmy dziennie pokonywać ponad dwadzieścia mil.

– Rozumiem. Arnax, wracaj...

– Nie. Ja się napiję – stwierdził Navio. – Chociaż kubek, nawet jeśli Carbo nie chce. Wzniosę toast za sukces waszej misji i, co ważniejsze, bezpieczny powrót.

– Dziękuję. – Spartakus rzucił im ostrzegawcze spojrzenie. – Nie muszę chyba mówić, że nikt nie może o tym wiedzieć. Nikt.

Carbo i Navio pokiwali głowami ze zrozumieniem.

– Ja nie... nie... – Arnax zaczął się jąkać przerażony.

– W porządku. Wiem, że nic nikomu nie powiesz. – Spartakus skinął im na pożegnanie i po chwili rozpląnął się w mroku poza granicą światła rzucanego przez ognisko.

Navio uniósł brodę, wskazując miejsce, w którym zniknął Spartakus.

– Bogowie, założyłbym się o wszystko, że się tego nie spodziewałeś.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałem.

– Ja też. Czy twoi rodzice nie mieszkają przypadkiem w Rzymie?

Carbo, przygnębiony i załamany po zamieszaniu z listem, który próbował wysłać w Mutinie, opowiedział Navio całą swoją historię.

– Tak.

– Kusi cię, żeby ich zobaczyć?

– No nie wiem. Mogę nie mieć nawet takiej szansy.

– Kiedy pojawi się lepsza okazja?

– A daj spokój...

– W porządku. W porządku... – Navio uniósł dłonie w obronnym geście.

Zadumany Carbo wpatrywał się w płomienie. Jeśli miał być szczery, to tak naprawdę obawiał się spotkania z rodzicami. Co miałby im powiedzieć, gdy zapytają, gdzie podziewał się przez ostatnie półtora roku? Musiałby wyłgać się samymi kłamstwami. Mimo wszystko jednak na myśl o nich bolało go serce z tęsknoty.

Carbo wstał długo przed świtem. Po cichu wyślizgnął się spod koców, żeby nie obudzić Navio ani Arnaksa. Zrolował je, przywiązał do plecaka, który przygotował poprzedniego dnia. Poszedł spać w ubraniu, więc teraz pozostało jedynie założyć sandały, chwycić sztylet i wykraść się na zewnątrz. Chociaż intuicja podpowiadała mu, że może spodziewać się Spartakusa, podskoczył na widok postaci, która przycupnęła w półmroku przy dogasającym ognisku.

– Długo czekasz? – zapytał szeptem.

– Jakąś chwilę.

– Nie mogłeś spać?

– Coś w tym stylu.

Tak naprawdę męczyła mnie już otwarcie demonstrowana przez Ariadnę niechęć. Żałował, że nie pożegnał się z kapłanką, ale bijący od niej chłód w ciągu nocy przemienił się w prawdziwy mróz – tak silny, że spodziewał się zobaczyć szadź na płachtach namiotu.

Carbo uznał, że sylwetka przywódcy bez miecza, hełmu i kolczugi wydaje mu się nieco dziwna. Spartakus założył jedynie prostą wełnianą tunikę i sandały. Obok niego leżał plecak i pałka do obrony. Na skórzanym pasku przewieszonym przez pierś wisiał

ukryty w pochwie nóż. Naprawdę wyglądał jak zwykły niewolnik pracujący na roli.

– Jestem gotowy – powiedział Carbo.

– Daj mi swój plecak.

– Co?

– Jeśli jesteś moim panem, a ja niewolnikiem, to muszę nieść cały nasz bagaż. Od początku. Tylko bogowie wiedzą, kogo spotkamy po drodze. Nie powinniśmy wzbudzać podejrzeń, prawda?

– Ale...

– Dawaj... – Carbo czuł się niezręcznie, pozbywając się swojego plecaka, ale wykonał polecenie. – Nie masz broni?

– Tylko to. – Poklepał sztylet.

– W porządku. Ruszajmy. Przed nami długa droga.

Carbo rzucił ostatnie spojrzenie na namiot. Poczuł ucisk w brzuchu na myśl o tym, że może już nigdy więcej nie zobaczyć Navio i Arnaksa. *Wróć, zanim zdążymy za sobą zatęsknić* – obiecał sobie. Wyprostował się i ruszył za Spartakusem.

– Niech bogowie mają was w swojej opiece! – usłyszał za sobą niski głos.

Gdy się odwrócił, ujrzał, że Navio wystawił głowę z namiotu. Uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję.

Pokiwał głową w bezgłośnym pożegnaniu i dogonił Spartakusa znikającego już w alejce między namiotami obozu. Dotarcie do bramy wyjściowej zajęło im sporo czasu. Obóz został wzniesiony na płaskim terenie między dwoma zalesionymi szczytami. W drodze minęli kilku wartowników, którzy na ich widok uśmiechali się i machali im na pożegnanie.

– Myślą, że właśnie udajemy się na mały rekonesans najbliższej okolicy – mruknął Spartakus. – Ubiegłej nocy kazałem Pulcherowi rozpuścić taką plotkę.

– Co powiedzą, kiedy nie wrócimy?

– Jeśli ktoś zacznie zadawać pytania, Pulcher będzie mówił, że poszliśmy na południe, żeby rozpoznać trasę przemarszu armii. Nie będzie miało większego znaczenia, jeśli ludzie nie

uwierzą w tę historię. Myślą teraz wszyscy tylko o Thurii. Wrócimy, zanim ktoś zacznie się na poważnie niepokoić.

Spartakus przypomniał sobie minę zachwyconego Castusa, gdy powiedział mu o planowanej misji. Gannicus też wydawał się zadowolony. Trudno. Teraz najważniejsze było zdobycie informacji o planach Rzymian i unieszkodliwienie Krassusa. *Nie zdążą w tak krótkim czasie ani za bardzo nabroić, ani przekonać do siebie zbyt wielu ludzi* – przekonywał sam siebie.

Zostawiwszy obóz za plecami, wspięli się po stromym zboczu obrośniętym buczyną, a potem ześlizgnęli w dolinę po drugiej stronie wzniesienia. Niebo na wschodzie szybko się rozjaśniało, ale to nie miało już znaczenia. Widzieli ich tylko wartownicy. Nie mieli jednak pojęcia, że śledziły ich czujne oczy Publipora.

Dziewięć dni później dotarli do przedmieść Rzymu. Niestety, znalezienie odpowiednich wierzchowców okazało się zbyt czasochłonne. I w efekcie niewykonalne. Całą drogę, to znaczy po około dwadzieścia mil dziennie, pokonali więc pieszo, a mimo to przemieszczali się znacznie szybciej niż armia niewolników. Było ciężko, ale Carbo nie narzekał. Spartakus niósł zresztą cały ich bagaż, zostawiając Carbo tylko bukłak z wodą.

Zeszli z gór przy pierwszej okazji, wybierając najkrótszą drogę do stolicy: Via Appia, która biegła z Brundisium. Najważniejsza arteria komunikacyjna republiki została wyłożona blokami czarnego bazaltu. Przemieszczały się po niej wozy kupieckie pełne towarów, żołnierze, zwykli podróżnicy i wszelkiego rodzaju urzędnicy. Carbo i Spartakus szybko zostali wchłonięci przez wielką falę ludzką, która płynęła w kierunku Rzymu. Niczym się nie wyróżniali. Ot, kolejny obywatel i jego niewolnik, zajmujący się swoimi sprawami.

Umówili się, że będą ze sobą rozmawiać tylko wtedy, jeśli zyskają pewność, że wokół nie ma nikogo. W przydrożnych karczmach, gdzie nocowali, Carbo zajmował zwykle mały pokój, podczas gdy Trak spał w stajni, a czasami nawet pod gołym niebem. Niewolnicy pracujący na roli zazwyczaj nie byli traktowani wyjątkowo, a Spartakus wołał, żeby nikt nie powziął jakichś

podejrzeń. Nie chcieli żadnych problemów, ponieważ na tym etapie liczył się przede wszystkim czas. Gdyby dotarcie do Rzymu zajęło im zbyt wiele czasu, Galowie mogliby naprawdę dużo nabroić. A Spartakus mimo wszystko wołał być przy Ariadnie w chwili, gdy powije jego syna.

– Musimy być już blisko – stwierdził Carbo, wskazując wielki murowany grobowiec, wyróżniający się spośród innych, które do tej pory mijali. – Robią się coraz większe. – Podobne budynki, symbole pośmiertne bogatych i wpływowych Rzymian, ciągnęły się po obu stronach drogi przez wiele mil.

– Masz rację. Tu jest jakby mniej *latrones* i tanich dziwek.

To prawda – pomyślał Carbo. Czyhające na nieostrożnych podróżnych podejrzane indywidua zniknęły wśród szepczących cyprysów i krypt z posągami zmarłych.

– Straż miejska prawdopodobnie nie toleruje ich w pobliżu miasta.

– Oto i Rzym... – powiedział cicho Spartakus. – Przed nami. Spójrz.

Ponad głowami ludzi podróżujących Via Appia Carbo zobaczył wysokie kamienne mury w obramowaniu drzew ciągnących się wzdłuż drogi.

– Są cholernie wielkie!

Spartakus mruknął z irytacją. Mury Rzymu były co najmniej onieśmielające. Wysokie na pięciu chłopa, wzmocnione płytami z żółtego tufu. Widzieli nawet żołnierzy, niczym kropeczki, przemieszczających się na blankach. Po obu stronach wzmocnionej żelaznymi sztabami bramy wznosiły się potężne baszty. Na każdej z nich umieszczono po kilka lekkich katapult. Dawniej były momenty, kiedy Spartakus rozważał oblężenie Rzymu, a teraz zrozumiał, że powinien w ogóle o tym zapomnieć. *Potrzebowalby inżynierów, którzy zbudowałiby setki wielkich machin. Nawet wtedy podziurawienie murów na tyle, żeby myśleć o skutecznym szturmie, zajęłoby nam kilka miesięcy. Miesiące, podczas których w innych miejscach Italii zebrane zostałyby kolejne legiony.* Spróbował odegnąć od siebie czarne myśli.

– Ile ma lat?

– Ponad trzysta – odparł z dumą Carbo. – Został wzniesiony po splądrowaniu miasta przez Galów.

– Imponujące, ale wielka szkoda, że w ogóle je zbudowano. Hannibal zapewne zupełnie inaczej prowadziłby działania wojenne, gdyby nie musiał oblegać tak potężnie ufortyfikowanego miasta. Ja też z pewnością miałbym łatwiej...

Poczucie dumy Carbo zniknęło.

– Jaką ma długość?

– Pięciu mil. Mur opasuje wszystkie siedem wzgórz. Wokół ciągnie się również głęboki rów. Zobaczymy go, gdy się zbliżymy.

– Nie mogę się doczekać – powiedział oschle Spartakus.

Zawstydzony swoim entuzjazmem Carbo zamilkł.

– Gdzie mieszka twój wuj?

– Na Ekswilinie. – Carbo już dawno opowiedział Spartakusowi historię losów swojej rodziny. Trak wiedział więc o tym, że Krassus przyczynił się walnie do jej upadku. „Chcesz ich zobaczyć?” – spytał wówczas wprost Spartakus. „Tak” – odpowiedział, wpatrując się w ogień i wspominając swoje niemądre zachowanie, gdy w Mutinie wpadł na pomysł podyktowania listu do rodziców. „Myślę, że powinieneś” – stwierdził wtedy Spartakus, zupełnie zbijając go z tropu. – Czy nadal uważasz, że dobrym pomysłem jest nawiązanie kontaktu z moimi rodzicami?

– Jeśli będzie ku temu sposobność, to tak. W każdej chwili możesz przecież zginąć.

– Wydaje mi się, że z Capeny, bramy, przez którą wejdziemy do miasta, jest już niedaleko do Ekswilinu. – Carbo poczuł gęsią skórkę na myśl o spotkaniu z rodzicami. – Nietrudno będzie odnaleźć dom kuzyna.

– Hola, hola... Powoli. Najpierw znajdziemy jakieś odpowiednie miejsce na nocleg. Rozejrzemy się, zorientujemy, co dzieje się w mieście.

– Przepraszam. – Carbo się zaczerwienił.

– Nie martw się, przyjdzie i na to czas.

Zadowolony Carbo zaczął rażniej przebierać nogami, ciesząc się widokami miasta, o którym tyle słyszał, ale którego nigdy jeszcze nie widział. Dorastał na opowieściach o stolicy i Forum

Romanum, głównym placu oraz miejscu spotkań towarzyskich, politycznych i handlowych obywateli. Nad forum górowało wzgórze kapitolińskie z ogromnym kompleksem świątynnym i olbrzymią statua Jowisza. Pewnie nie będą mieli czasu na szwendanie się po mieście, ale chętnie zobaczyłyby też Circus Maximus, arenę sportową wzniesioną przy wykorzystaniu naturalnych stromych stoków Awentynu i Palatynu.

Tymczasem jednak jego ciekawość szybko przemieniła się w zaskoczenie. Gdy przeszli pod potężną bramą murów serwiańskich, okazało się, że swoją świetność zachowała tylko... wyłożona bazaltami droga. Nadal była wystarczająco szeroka, aby mogły wyminąć się na niej dwa wozy. Jednak odchodzące od głównej arterii po obu stronach uliczki, wspinające się na wzgórze, były wąskie, nieutwardzone i nie różniły się właściwie od tych, które znał z Kapui. Za to budynki przy głównej drodze były wyższe od wszystkich, jakie kiedykolwiek widział Carbo czy Spartakus: miały trzy, cztery, a nawet pięć kondygnacji, choć w większości wyglądały raczej rachitycznie, jakby mogły się zawalić przy silniejszym podmuchu wiatru. Powietrze zgęstniało od smrodu gnijących śmieci, ludzkich ekskrementów i moczu przetwarzanego w warsztatach foluszniczych wokół Capeny. No i te tłumy! Nigdy nie spodziewali się zobaczyć tylu ludzi w jednym miejscu. Przepychali się i torowali sobie drogę łokciami, tak skupieni na tym, żeby zachować równowagę, że nikt nie zwracał uwagi na innych przechodniów.

Ogólny harmider pogłębiały jeszcze długie rzędy wozów. Załadowane warzywami, tuszami świń, naczyniami z terakoty i wszelkimi innymi dobrami, ciągnięte przez parę lub czwórkę wołów. Furmani klęli, ile wlezie. Na innych woźniców, na przechodniów, obwiniając wszystkich i wszystko za ślimacze tempo. Carbo uznał, że lepiej zmienić strategię. Przesunęli się bliżej pobocza w nadziei, że uda im się przyspieszyć. Jednak zawłaszczające ulicę sklepy, gospody i wszelkiej maści stragany wypełniały każdą wolną przestrzeń stołami i stosami przedmiotów oferowanych do sprzedaży. A w każdą szczelinę między budynkami wciskali się bezzębni żebracy, trędowaci, kalecy i wychudzone

dzieci lub żonglerzy, zaklinacze węży i inni przedstawiciele różnych profesji.

– Nie jest dobrze – stwierdził sfrustrowany. – Jeśli zostaniemy na Via Appia, zmarnujemy cały dzień. Nie znam żadnej z bocznych uliczek.

– Łatwo temu zaradzić. – Spartakus strzelił palcami, przywołując do siebie jakąś dziewczynkę z zadartym nosem, ubraną w zgrzebną tunikę. – Chcesz zarobić asa?

Doskoczyła do Spartakusa w gniewie oka.

– Tak, proszę pana.

– Nie musisz do mnie mówić „proszę pana”. Jestem niewolnikiem.

– W porządku – powiedziała dziewczynka, wzruszając ramionami. – Nowi w mieście?

– Tak. Mój pan szuka kwatery na kilka nocy. Gdzieś w centrum, jeśli to możliwe. Nie musi to być nic nadzwyczajnego, ale też nie jakaś nora. Miejsce, gdzie łóżka są czyste i nie trują jedzeniem. I gdzie wino naprawdę nadaje się do picia.

– Kobiety?

– Jeśli nie możesz zagwarantować, że nie będą miały ospy, to nie – odparł Carbo.

Na uwagę Carbo dziewczynka uśmiechnęła się, odsłaniając rząd niezbyt zdrowych zębów.

– Znam dobre miejsce. Pola Elizjum. Między Eskwilinem a Kwirynelem.

– Daleko? – spytał Spartakus.

– Nie, jeśli pokażę wam drogę. Chodźcie! – Zanim się zorientowali, dziewczynka już zniknęła w bocznym zaułku.

Carbo rzucił Spartakusowi niepewne spojrzenie.

– Na co czekasz?

– Ufasz jej?

– Widziała moją pałkę i zdaje sobie sprawę z tego, że obaj jesteśmy uzbrojeni. Każde dziecko wie, że tanio nie sprzedamy skóry i może się jej dostać. Stawiam swoje pieniądze, że zabierze nas prosto do przyzwoitego zajazdu.

Carbo nie był tego taki pewien, ale to nie on tu decydował. Nawet jeśli mogło się wydawać, że jest inaczej.

– W porządku.

Ruszył za dziewczyną. Spartakus szedł za nim.

Rzeczywiście, całkiem szybko znaleźli się przed bramą Pól Elizjum, nierzucającej się w oczy gospody znajdującej się tuż przy ulicy Vicus Patricius. Rzut oka Carbo wystarczył, żeby się przekonać, iż dziewczynka spisała się wyśmienicie. Zajazd był niewielki, ale czysty i dobrze wyposażony, a właściciel, sympatyczny emerytowany żołnierz, wyglądem budził zaufanie. Po zapłaceniu dziewczynce Carbo poprosił o pokój na piętrze. Spartakus znalazł stajennego i zapewnił sobie miejsce do spania w stajni. Krótka, luźna rozmowa wystarczyła, aby zorientować się, że w mieście nie mówi się o niczym innym, jak tylko o nominacji Krassusa na głównodowodzącego armii republiki w Italii.

– Konsulowie nie mogli już mu się dłużej sprzeciwiać, no nie? – ostro skomentował stajenny. – Ci durnie dali dupy już trzy razy. Chyba wystarczy?

– Niby racja... – mruknął Spartakus, ukrywając uśmiech. – To mówisz, że Krassus zamierza wreszcie wykończyć niewolników?

– Tak przynajmniej gada. Podobno tworzy sześć nowych legionów. Płaci za nie ze swojej kiesy. To się dopiero nazywa poświęcenie dla republikańskich ideałów. Ha!

Spartakus spodziewał się usłyszeć złe wieści, ale chyba nie tak szybko. Choć w środku kłął na czym świat stoi, próbował zachować niewzruszony wyraz twarzy. Wyglądało na to, że Krassus jest lepszym organizatorem i przywódcą, niż przypuszczał. Kiedy do niedobitków z ocalałych oddziałów konsulów doda się sześć nowych legionów, będzie musiał stawić czoła armii liczącej łącznie prawie dziesięć legionów. *Wielki Jeźdźcu, będę potrzebował twojej pomocy jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.*

– Na to wygląda. A więc to prawda, że jest najbogatszym człowiekiem w Rzymie?

– A żebyś wiedział! Większość pieniędzy zarobił w czasie proskrypcji Sulli. Kupował nieruchomości tych, którzy zostali

skazani na śmierć. – Stajenny splunął. – Zarabia też na odkupywaniu ziemi po pożarach. Daje właścicielom płonących budynków niewielkie pieniądze. Prawie wszyscy się zgadzają. Bo po odwiedzinach czerwonego kura i tak zwykle zostają z niczym. Krassus ma prywatną straż pożarną. Po podpisaniu umowy ci chłopcy zabierają się za gaszenie. Dzięki temu dysponuje gruntem pod budowę nowego budynku za... złodziejsko małe pieniądze.

– Niezły gagatek...

– A jednak ludzie mówią, że to przemiły człowiek. Regularnie wydaje zasiłek zbożowy dla plebsu. Krassus to prawdziwy byk z sianem na rogach. – Stajenny mrugnął porozumiewawczo. – Powiedz swojemu panu, że sam może zobaczyć, jak przemawia do Rzymian tego popołudnia!

– Naprawdę? Gdzie? – spytał jakby od niechcienia Spartakus. Stajenny uniósł brwi, zdziwiony.

– Zapomniałem, że wy nie stąd. Gdzieżby indziej? Na forum!

– Dziękuję. Powiem panu.

Spartakus udał się na poszukiwanie Carbo, podgryzając w zamysleniu słomkę siana.

Carbo drzemał na najwygodniejszym łóżku, w jakim kiedykolwiek spał podczas ich podróży, gdy głośnie pukanie do drzwi wyrwało go ze snu.

– Panie?

Wyprostował się zaskoczony.

– Tak?

Spartakus stał już w drzwiach niskiego pomieszczenia.

– Na dole można dostać posiłek. Pieczeń wieprzowa lub grillowane świeże ryby. Czy mam coś zamówić dla ciebie, panie? – Zamknął za sobą drzwi. – Nigdy nie zgadniesz, co ma się stać dzisiejszego popołudnia.

– Co takiego?

– Pieprzony Krassus będzie przemawiać do ludzi na forum. Z Carbo opadła cała senność.

– Kto ci powiedział?

– Stajenny. Sześć legionów. Tylu ludzi werbuje. Dodatkowo ma do dyspozycji niedobitki z legionów Longinusa i armii konsułów. W sumie będzie dysponował siłą niemal dziesięciu legionów.

Carbo zrobiło się słabo.

– To... cała masa legionistów.

– Mówiłem, że za każdym razem będzie trudniej... – Spartakus wyszczerzył się w dzikim uśmiechu.

– Spróbujemy go zabić? – zapytał szeptem Carbo.

– Po to tu przybyliśmy, prawda?

Adrenalina już krążyła w żyłach Carbo.

– Tak!

– Bogowie! Sprawiasz wrażenie, jakbyś pragnął jego śmierci bardziej niż ja!

– Zrujnował moją rodzinę, okrył hańbą dobre imię ojca. Przez niego straciliśmy dach nad głową. I za co? Za trzy miesiące opóźnienia spłaty jakiejś żalosnej pożyczki! – Carbo nawet się nie zorientował, że złapał za sztylet. – Z ogromną przyjemnością poderznąłbym mu to chude gardło.

– Uspokój się. – Twarde spojrzenie Spartakusa sprawiło, że wrócił do rzeczywistości.

– Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Masz dobry powód, żeby nienawidzić tego bydlaka, ale ta sytuacja wymaga chłodnej głowy. Nie wiemy, jaką będzie miał ochronę. Bądź pewien, że po ostatnim awansie nie chodzi sam ulicami Rzymu. Jeśli rzucimy się na niego jak para szaleńców, to Krassus będzie się zaśmiewał do rozpuku przy naszych okrwawionych truchłach. Nie chcesz chyba zginąć tak głupio?

– Nie... – mruknął Carbo.

– Ocenimy sytuację na miejscu. Gdy zobaczymy, co się dzieje i kto go pilnuje. Nie wcześniej. – Spartakus widział zbyt wielu ludzi niepotrzebnie oddających swoje życie w bitwie tylko dlatego, że działali zbyt pochopnie. W tym przypadku nie było miejsca na lekkomyślność. – Może się okazać, że nie będziemy mieli żadnej szansy, żeby go skrycie podejść. Jeśli tak, po prostu zrezygnujemy z całej akcji. Czy to jasne?

Carbo przelknął dławiacą go niechęć. Gdyby nie Trak, jego trupa już dawno drążyłyby czerwie na wysypisku śmieci przy kapuańskim *ludus*.

– Tak.

– Odłóż więc to cholerne żelastwo i każ mi przynieść jakieś jedzenie.

Carbo potrzebował dłuższej chwili, żeby zrozumieć, o co chodzi Spartakusowi. Wcisnął sztylet do pochwy i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mam ochotę na spacer po mieście – powiedział głośno. – Może po drodze znajdziemy jakieś miejsce, żeby coś zjeść. – Otworzył szeroko drzwi. Chociaż nie było żadnego powodu, żeby zachowywać wielką ostrożność, ucieszył go widok pustego korytarza. Zmówił w myślach płynącą z serca modlitwę, najszczerzą, na jaką kiedykolwiek go było stać: *Wielki Jowiszu, Iuppiter Optimus Maximus, obdarz nas łaską, niech pojawi się okazja uśmiercenia Krassusa. Prowadź ostrze moje i Spartakusa.*

W tym pośpiechu zapomniał, że prośby do bogów powinny być formułowane z największą precyzją.